

MEM_PL_9

woman, 1st year of sociology, MA studies

Pamiętnik

Ostatni tydzień lutego 2022 r. miał być dla mnie pierwszym naprawdę wolnym czasem od lat. Wolnym od studiów, pracy i wszelkich spraw do załatwienia „wiszących nad głową”. Od dłuższego czasu śledziłam na bieżąco sytuację na świecie, szczególnie kwestie dotyczące konfliktów zbrojnych, również tych, w innych częściach świata. Słyszałam wielokrotnie spekulacje o możliwym ataku Rosji na Ukrainę jednak nie do końca w nie wierzyłam. Raczej nie chciałam wierzyć. Przecież informacje takie pojawiały się już wcześniej, a sytuacja była napięta od lat. Niby wiedziałam, że te konkretne są rozpatrywane na poważnie ale nie chciałam, aby była to prawda.

Niestety rzeczywistość okazała się inna i 24.02.2022 roku Rosja zaatakowała Ukrainę. Pamiętam, że z jednej strony była to dla mnie szokująca informacja, a z drugiej pomyślałam tylko, że spekulacje się spełniły i było mi głupio, że w nie nie uwierzyłam. Po przejrzeniu pierwszego rzutu informacji, sprawdziłam relacje znajomych z Ukrainy (większość z nich coś udostępniła) oraz jak sytuacja wygląda na mapie, jakie obszary, miasta zostały zaatakowane i jak ma się to do miejscowości, w której mieszkają moi bliscy. Moi dziadkowie pochodzą z kresów (obie babcie i jeden dziadek), urodzili się tam i po wojnie przenieśli się do Wrocławia tak jak większość członków rodziny. Jednak ze strony dziadka tylko jego mama zdecydowała się na wyjazd, reszta postanowiła zostać. Jej rodzeństwo, ich dzieci, a teraz kolejne pokolenia wciąż mieszkają w tej samej okolicy, w Chmielnickim, jednym z większych miast w Ukrainie, usytuowanym w jej zachodniej części.

Od początku konfliktu, od ponad 8 lat, staramy się na bieżąco śledzić sytuację, chociaż tak naprawdę na bieżąco był z nią tylko dziadek, bo to on sprawdza informacje każdego dnia i jest w kontakcie z bliskimi, my (ja wraz z rodzicami i bratem) staramy się orientować i pytać, co u nich. Czasem ten temat był bardziej poruszany, czasem mniej, na pewno był obecny, ale nie był tak bardzo istotną częścią naszej codzienności. Gdy wiedzieliśmy, że nasza rodzina jest

bezpieczna, a my nie mamy innego, realnego wpływu na to, co się dzieje, temat ten przygasał. Podobnie jest teraz.

W lutym to się zmieniło, każdy z nas zaczął śledzić możliwie wszystkie informacje, chcieliśmy być na bieżąco cały czas, sprawdzaliśmy informacje w telefonie, ciągle była włączona telewizja, a praktycznie każda wymiana zdań w domu, których było znacznie więcej niż dotychczas, dotyczyła sytuacji w Ukrainie. Chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje, ale istotną kwestią było również to, że ze względu na problemy z dostępem do informacji w samej Ukrainie, nasi bliscy dzwonili dosłownie co godzinę pytając nas co wiemy, co się dzieje, czy są zagrożeni. Zaczęliśmy oswajać się z myślą i przygotowywać na to, że być może przyjadą do Polski. Część rodziny faktycznie się na to zdecydowała, szczególnie dalszej i osoby młodsze, z dziećmi. Jednak ci nam najbliżsi, z którymi mamy najlepszy kontakt, nie chcieli tego, chcieli zostać w domu. Pod koniec marca zaatakowano lotnisko w obwodzie Chmielnickim, jednak poza tym sytuacja tam była względnie bezpieczna. Mieszkańcy organizowali się (i wciąż się organizują) by pomagać rodakom uciekającym z terenów położonych bardziej na wschód, sami niekoniecznie myśląc o ucieczce. Szczególnie ci starsi, jak właśnie nasi bliscy. Dziadek wielokrotnie poruszał temat przyjazdu, przygotował mieszkanie, żeby było gotowe „na już”.

W tym czasie starliśmy się jakoś organizować, myśleć również o pomocy z naszej strony, o tym co możemy zrobić realnie, tu i teraz. Jednak chyba ilość informacji, skupienie na własnej rodzinie i to ciągłe bycie w gotowości, pochłaniało zbyt dużą część naszych sił. Myśleliśmy o tym, że musimy rozsądnie nimi gospodarować. Moja mama wiedziała, że będzie miała dużo dodatkowej pracy w szkole, w której pracuje, że pojawi się wiele dzieci z Ukrainy, z którymi będzie miała dodatkowe zajęcia, że są pomysły by w szkole urządzić noclegownie itd. Ja wiedziałam, że nie mam takich konkretnych wizji, a więc mam możliwość zaangażowania się w inne formy pomocy, starałam się wpłacać na zbiórki i sprawdzać aktualne potrzeby. Przez lata byłam harcerką, widziałam, że wiele z moich przyjaciół i znajomych stamtąd organizuje pomoc na dworcu głównym i nie tylko. Gdy pierwszy raz zobaczyłam informacje od nich, w pierwszych dniach wojny, od razu chciałam też jakoś pomóc, ale jednocześnie wiedziałam, że może być to psychicznie zbyt trudne. Byłam na bieżąco i po kilku dniach uznałam, że zaangażuję się dodatkowo, w coś co nie będzie tak wymagające i sformalizowane.

Wiedziałam, że potrzebują jedzenia na dworcu, jakiś zakupów, zrobionych kanapek, pomocy „od zaplecza”. Postanowiłam więc zrobić kanapki i kupić potrzebne rzeczy z listy i następnego dnia pójść na dworzec. Z racji tego, że dworzec głównie organizowali harcerze, ludzie, których w dużej części znałam, bez problemu dostałam listę z aktualnymi potrzebami i mogłam przyjść,

bez wpisywania się jako wolontariuszka, na zmianę jednej z moich przyjaciółek, która była wówczas koordynatorką żywności. Była to niezła opcja, szczególnie wiedząc, że może być to trudne psychicznie, być może za trudne. Wieczorem zrobiłam zakupy, zaangażowałam brata i jego dziewczynę do pomocy i kilka godzin robiliśmy kanapki. Następnego dnia, o świcie, pojechałam na dworzec. Na miejscu zauważyłam, że całkiem sprawnie wszystko działa, zdecydowanie sprawniej niż to, co wiedziałam, np. na dworcu w Warszawie. Mimo tego uderzył mnie widok małych dzieci śpiących, zwiniętych, na kamiennych ławkach. Ławkach zaprojektowanych specjalnie tak, by nie dało się na nich spać, a przynajmniej by było to skrajnie niewygodne i aby można było je dzięki temu umieścić w obiektach użyteczności publicznej, takich jak dworce. Nie wchodziłam jednak na górę, gdzie wiedziałam, że ludzie śpią na ziemi, nie mają materaców, koców, a dr Łątka dopiero na dniach będzie próbował wydzielać tę przestrzeń za pomocą papierowych konstrukcji z materiałem (które zresztą niedługo później kazano mu rozebrać). Wiedziałam jak to wygląda, moja inna przyjaciółka była odpowiedzialna za tę strefę, ale tam nie odważyłam się pójść. Poszłam od razu do strefy z magazynem i jedzeniem.

Sytuacja na miejscu była taka jak się spodziewałam, dużo jedzenia, brak porządku, próby usystematyzowania tego, jednak przy zmieniających się osobach było to bardzo utrudnione. Okazało się po ogłoszeniu w mediach społecznościowych, że potrzebne są szczególnie kanapki, przez noc, ludzie przynieśli ich bardzo dużo, były ich całe góry. Dosłownie. Całe góry kanapek. Nie było lodówek, do których można by je włożyć, nie było nawet wystarczająco dużo kartonów, a jak już się jakieś znalazło, to nie było regałów, ani niczego, dzięki czemu można by je ułożyć horyzontalnie i zająć mniej miejsca, a raczej mieć szansę na zmieszczenie się na wyznaczonej powierzchni. Okazało się, że przyszłam w dobrym momencie, ogarnięcie przestrzeni było akurat czymś, co nie wymaga ode mnie zbyt wiele, a inni nie lubią tego robić. Od razu się podzieliliśmy, udało się zabrać dwa regały z magazynu i po kilku godzinach podzieliliśmy większość jedzenia, ogarnęliśmy system i podpisaliśmy wszystko. Były perspektywy na powodzenie, choć i tak pewnie kanapki z wędliną przez ten czas się już zepsuły. Wróciłam do domu na zajęcia, po drodze uzgodniłam szczegóły z panią od cyklicznego wolontariatu z zajęciami dla dzieci z Ukrainy. Wieczorem dostałam informację, że miasto zaczyna się w końcu angażować w pomoc na dworcu i postawiło namioty na zewnątrz, które miały być przeznaczone właśnie na strefę jedzenia. Kanapki układane przez cały dzień do oddzielnych kartonów ponownie zamieniły się w góry kanapek, a cały system został rozebrany.

Uznałam, że to jednak nie jest dla mnie. Być może byłabym w stanie wiele zrobić na miejscu ale zderzenie się z tą bezsilnością mnie przerosło. Ta bezsilność była chyba najtrudniejsza. Już wcześniej miałam poczucie, że sama niewiele jestem w stanie zrobić, oczywiście każda pomoc się liczy, nawet ta najmniejsza ale miałam poczucie, że to nie jest wystarczające, że powinnam zrobić więcej. Więcej nie w znaczeniu więcej rzeczy, ale sama nie wiem, chyba coś co bardziej realnie zmieniloby tę sytuację? Niby wiem, że nie jest to możliwe, ale miałam tę myśl z tyłu głowy. A zderzenie się z tą bezsilnością na dworcu było po prostu trudne. Zobaczyłam jak bardzo ludzie, którzy są tam codziennie, robią wspaniałą robotę i naprawdę bez nich ludzie uciekający przed wojną nie uzyskaliby pomocy, tak naprawdę też są bezsilni. Robią to samo każdego dnia bo mimo ich starań sytuacja się nie zmienia, przecież nie jest zależna od nich. Bezsilność ludzi, którzy uciekają, którzy decydują się opuścić swój dom by odnaleźć namiastkę bezpieczeństwa. Którzy wcale też nie tak rzadko, chwilę później sami angażowali się i pomagali w miejscach, w których sami otrzymali pomoc. Miałam wrażenie, że masa ludzi coś robi, często naprawdę ważne rzeczy, a koło nadal w koło się toczy. Nadal jest dla mnie abstrakcyjne jak to możliwe, że świat działa tak, że coś albo ktoś jest w stanie zachwiać spokojem milionów ludzi, a oni nie są w stanie nic z tym zrobić. Bez względu na wszystko po prostu naprawdę nie są w stanie nic realnie z tym zrobić. Oczywiście pomoc jest superważna i dużo daje ale niestety za wiele realnie nie zmienia. Próba naprawiania skutków nie zatrzyma się przyczyny.

Zresztą, z czasem sytuacja na dworcu uległa znacznej poprawie. Konieczność pomocy rozłożyła się i ustabilizowała. Przestała być tak obecna w mediach społecznościowych. Ja sama przestałam ją na bieżąco dodatkowo sprawdzać. Oczywiście, ustabilizowała się również dzięki zorganizowanym formom pomocy, bez tego, że była niesiona pomoc nie byłoby możliwości uspokojenia. A jednocześnie mam z tyłu głowy myśl, że przecież ci ludzie nie zniknęli. Jasne, część z nich wyjechała dalej, części udało się ułożyć tutaj życie ale mimo tego, że ich sytuacja, z jednej strony się zmieniła to z drugiej nie zmieniła się wcale. Ale od kiedy przestaliśmy widzieć, widzieć tych ludzi, ich cierpienie, to w dużej mierze znacznie mniej po prostu o nich i o ich sytuacji myślimy. Być może podobnie stało się ogólnie z całą sytuacją wojny. Zaczęły się spełniać pewne najgorsze scenariusze. Ze strefy wyobrażonych obaw przeszły do świata realnego. Przestały jawić się nam jako wizje, na które czekamy, stały się czymś, co już widzieliśmy. A to, paradoksalnie, zmienia nasz sposób widzenia i myślenia, zaczynamy się z tym oswajać.

Wiem, że codzienne, ciągle sprawdzanie informacji mnie przerasta. Szczególnie, że niestety docierają do nas głównie złe informacje. Nawet te dobre w zasadzie i tak są złe. Każda informacja inna niż o zakończeniu działań wojennych ciężko, żeby była dobra – oznacza, że wojna wciąż trwa. Staram się i tak być w miarę na bieżąco z głównymi, najważniejszymi informacjami i ważniejszymi, dla mnie, wydarzeniami. Wciąż szczególnie z rozłożeniem sytuacji na mapie, przede wszystkim tym co dzieje się u i wokół moich bliskich. Staram się ograniczać informacje, bodźce, trochę się wyłączyć, ale absolutnie nie znieczulić. A trudno jest to połączyć, trudno jest znaleźć „złoty środek”. Szczególnie z czasem, gdy wszystko cichnie, łatwo ulec wrażeniu, że rzeczywiście robi się spokojniej. Tyle, że nic dziwnego, u nas jest spokojnie bo u nas nie ma wojny...

Z drugiej strony wiem też, że moi bliscy w Ukrainie też chcą żyć normalnie. Zresztą nie tylko oni. Mimo tego braku spokoju, który nie tak łatwo jak u nas daje o sobie zapomnieć. Ludzie tam też nie chcą się bać. Chcą żyć, po prostu, tak jak wszyscy inni. Mam tylko nadzieje, że wszyscy, w szczególności, moi bliscy, ale przecież wszyscy, będą bezpieczni, a to wszystko jak najszybciej się skończy. Powrót do normalności zajmie dużo czasu. Im dłużej to trwa tym będzie dłuższy, zajmie więcej czasu. Być może dla ludzi, którzy to przeżyli, nigdy nie będzie osiągalny. Ale chyba póki co, po prostu, najbardziej pragnę, żeby jak najszybciej, realnie nastąpił.